

# Kometa



BRUNO SCHULZ

# Kometa<sup>1</sup>

I

Koniec zimy stał tego roku pod znakiem szczególnie pomyślnej koniunktury<sup>2</sup> astronomicznej. Kolorowe wróżby kalendarza zakwitły czerwono w śniegu na rubieży<sup>3</sup> poranków. Od palącej czerwieni niedziel i świąt padał odbłask na pół tygodnia i paliły się dni te na zimno fałszywym i słomianym ogniem, złudzone serca były przez chwilę żywej olśnione tą zwiastującą czerwinią, która nic nie zwiastowała i była tylko przedwczesnym alarmem, kolorową błagą kalendarzową, namalowaną jaskrawym cynobrem<sup>4</sup> na okładce tygodnia. Począwszy od Trzech Króli przesiadywaliśmy noc w noc nad białą paradą stołu lśniącego od lichtarzy i sreber, układając bez końca pasjansy. Z godziny na godzinę noc za oknem stawała się jaśniejsza, lukrowana cała i lśniąca, pełna kielkujących bez końca migdałów i cukrów. Księżyc, niewyczerpany transformista<sup>5</sup>, cały pogrążony w swych późnych praktykach księżycowych, odprowadzał kolejno swe fazy, coraz jaśniejsze i jaśniejsze, wykladał się wszystkimi figurami preferans<sup>6</sup>, dublował we wszystkich kolorach. Już za dnia stał często na boku, zawczasu gotowy, mosiężny i bez blasku — melancholijny walet ze swą świecą żołędzią<sup>7</sup> — i czekał na swoją kolej. Tymczasem całe nieba baranków przechodziły przez jego samotny profil cichą i białą, rozległą wędrówką, ledwo go zakrywając mieniącą się, rybią łuską z perłowej macicy, w którą ścinał się pod wieczór kolorowy firmament. Potem już dni kartkowały się pusto. Wicher przelatował z hukiem nad dachami, wydmuchiwał wystygłe kominy aż do dna, budował nad miastem imaginatywne<sup>8</sup> rusztowania i piętra i rozwałkał te dudniące, napowietrzne budowle, z łomotem krokwi<sup>9</sup> i belek. Czasami wybuchał na dalekim przedmieściu pożar. Kominiarze zbiegali miasto na wysokości dachów i galeryjek pod niebem grynszpanowym<sup>10</sup> i rozdartym. Przeprowadzając się z połąć na połąć, u cypli i chorągiewek miasta śnili w tej napowietrznej perspektywie, że wicher otwiera im na chwilę wieka dachów nad alkowami<sup>11</sup> dziewcząt i zatrząskuje je wnet z powrotem nad wielką wzburzoną księgą miasta — oszołamiącą lekturą na wiele dni i nocy. Potem wichry zmęczyły się i ustały. W oknie sklepowym subiekt<sup>12</sup> wywiesił wiosenne materiały, i od miękkich kolorów wełny złągodniała wnet aura, zarbarwiła się lawendą, zakwitła bladą rezedą<sup>13</sup>. Śnieg skurczył się, sfaldował w niemowlęcę

<sup>1</sup>*Kometa* — opowiadanie zainspirowane pojawieniem się komety Halleya wiosną 1910. Wzbudziło ono powszechny niepokój z powodu przewidywanego znacznego zbliżenia się komety do Ziemi oraz wykrycia w jej warkoczu cyjanu, silnie trującego gazu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*koniunktura* — warunki wywierające wpływ na sytuację. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*rubież* — kraniec jakiegoś obszaru; granica. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*cynober* — siarczek rtęci, minerał o ceglastym kolorze, od starożytności wykorzystywany jako naturalny czerwony barwnik; także nazwa odcienia czerwieni, pochodząca od barwy tego minerału [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*transformista* (z łac. *transformatio*: przekształcenie) — aktor szybko zmieniający za kulisami kostium i charakteryzację, grający kilka ról w jednym przedstawieniu. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*preferans* — skomplikowana gra w karty dla przynajmniej trzech (zwykle trzech lub czterech) osób, popularna zwłaszcza w XIX w. oraz do dziś w Rosji. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*żołędź* (r.ż. a. r.m.) — tu: trefl, jeden z kolorów w grach karcianych. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*imaginatywny* — częściej: imaginacyjny, będący wytworem wyobraźni, fantastyczny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*krokiec* — pochyla belka podtrzymująca dach. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*grynszpan* — jasnozielony nalot na miedzianej powierzchni. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*alkowa* (daw.) — pokój sypialny. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*rezeda* — roślina o niewielkich żółtawych lub zielonkawych kwiatach. [przypis edytorski]

runo, wsiąknął na sucho w powietrze, wypity przez kobaltowe<sup>14</sup> powiewy, wchłonięty z powrotem przez rozległe i wklęsłe niebo bez słońca i bez obłoków. Gdzieś tam już w mieszkaniach oleandry<sup>15</sup>, otwierano okna i bezmyślne ćwierkanie wróbli nappełniało pokój w tępej zadumie dnia błękitnego. Nad czystymi placami zbiegały się na chwilę gwałtowne starcia zięb, gilów i sikorek z przeraźliwym kwileniem — i pierzchały na wszystkie strony zmiecione przez powiew, wymazane, unicestwione w pustym błękitnie. Przez chwilę pozostawały po nich w oku kolorowe cętki — garść *confetti*<sup>16</sup> rzuconych na oślep w jasną przestrzeń — i topniały na dnie oka w neutralnym lazurze<sup>17</sup>.

Zaczął się przedwczesny sezon wiosenny. Koncypienici<sup>18</sup> adwokacy nosili wąsiki podkręcone spiralnie do góry, wysokie, sztywne kołnierzyki, i byli wzorem elegancji i szyku. W dni podmyte wichurą jak powodzią, gdy wicher niósł się z hukiem wysoko nad miastem, kłaniali się z daleka kolorowymi melonikami znajomym damom, oparci plecami o wiatr, z rozwianymi połami, i odwracali spojrzenia, pełni zaparcia i delikatności, ażeby nie narażać swych bogdanek<sup>19</sup> na obmowę. Damy traciły na chwilę grunt pod nogami, wykrzykiwały przestraszone, obłopotane sukniami, i odzyskując z powrotem równowagę, odpowiadały z uśmiechem na ukłon.

Po południu, bywało, wiatr się uciszał, Adela czyściła na ganku wielkie miedziane rondle chrząszczące metalicznie pod jej dotknięciem. Niebo stawało nad gontowymi<sup>20</sup> dachami nieruchomo, zatchnione<sup>21</sup>, rozgałęzione niebieskimi drogami. Subiekci przysłani ze sklepu z jakimś zleceniem przystawali długo koło niej u progu kuchni, wsparci o balustradę ganku, upici całodziennym wiatrem, z zamętem w głowie od ogłuszającego ćwierkania wróbli. Z oddali powiew przynosił zagubiony refren katarynki. Nie słyhać było cichych słów, które formowali półgłosem, niby od niechcenia — z niewinną miną — w istocie obliczonych na gorszenie Adeli. Ugodzona do żywego, reagowała gwałtownie, lżyła ich w uniesieniu, cała zaperzona, a twarz jej szara i zmętniała od wiosennych marzeń stawała w pąsach<sup>22</sup> gniewu i rozbawienia. Spuszczali oczy z nikczemną dewocją<sup>23</sup>, z niegodziwą satysfakcją, że udało im się wyprowadzić ją z równowagi.

Szły dni i popołudnia, płynęły w zamęcie codzienne zdarzenia nad miastem widzianym z wysokości naszego ganku, nad labiryntem dachów i domów w mętnej poświacie tych szarych tygodni. Druciarze zbiegali je, obwołując swe usługi, czasem potężne kichnięcie Szłomy znaczyło w dali dowcipną puentą daleki i rozpierzchny tumult<sup>24</sup> miasta; na jakimś odległym placu wariatka Thuja, doprowadzona do rozpaczy dogadywaniem malców, zaczynała tańczyć swoją dziką sarabandę<sup>25</sup>, podrzucając wysoko spódnice ku uciesze gawiedzi. Powiew wiatru przyglądał, wyrównywał te wybuchy, rozprowadzał w zgiefk monotony i szary i rozwlekał jednostajnie nad morzem gontowych dachów w mlecznym i dymnym powietrzu popołudnia. Adela, oparta o balustradę ganku, nachylona nad tym dalekim wzburzonym szumem miasta, wyławiała zeń wszystkie głośniejsze akcenty, składała z uśmiechem te zagubione sylaby, usiłując je powiązać, wyczytać jakiś sens z tej wielkiej i szarej, wzbierającej i opadającej monotonii dnia.

Epoka stała pod znakiem mechaniki i elektryczności, i cały rój wynalazków wysypał się na świat spod skrzydeł geniuszu ludzkiego. W mieszczańskich domach pojawiły się

Złoty wiek, Postęp

<sup>14</sup>kobaltowy — tu: ciemnoniebieski, o barwie glinianu kobaltu, minerału używanego jako naturalny niebieski barwnik. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>oleander — wiecznie zielone drzewo ozdobne o dużych czerwonych, różowych lub białych kwiatach i skórzastych liściach. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>confetti — drobne kawałki papieru służące do obsypywania się podczas balów, zabaw karnawałowych itp. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>lazur — kolor jasnoniebieski, barwa nieba w słoneczny dzień; od nazwy lazurytu, minerału od starożytności używanego jako naturalny błękitny barwnik. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>koncypient — urzędnik niskiego szczebla, referent. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>bogdanka (daw.) — ukochana. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>gontowy — zbudowany z gontów, deseczek z drzewa iglastego o specjalnym kształcie, które połączone przez wsunięcie jednej w drugą tworzą pokrycie dachu. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zatchnąć się — stracić oddech. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>pąs (z fr. *ponceau*: intensywnie czerwony, w kolorze kwiatów maku polnego) — intensywny rumieniec na twarzy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>dewocja — przesadna i ostentacyjna religijność. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>tumult — zamieszanie, zgiefk spowodowany wieloma osobami będącymi w ruchu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>sarabanda — szybki taniec hiszpański. [przypis edytorski]

garnitury<sup>26</sup> na cygara zaopatrzone w elektryczną zapalniczkę. Przekręcano kontakt i rój iskier elektrycznych zapalał knot umaczany w benzynie. Budziło to niesłychane nadzieje. Szkatułka muzyczna w kształcie pagody<sup>27</sup> chińskiej, nakręcona kluczem, zaczynała natychmiast grać miniaturowe rondo<sup>28</sup>, obracając się jak karuzela. Dzwonki trelowały na zakrętach, skrzydełka drzwiczek otwierały się na przestrzał, ukazując kręcący się rdzeń katarynkowy, tabakierkowy triolet<sup>29</sup>. We wszystkich domach zakładano dzwonki elektryczne. Życie domowe stało pod znakiem galwanizmu. Cewka drutu izolowanego stała się symbolem czasu. W salonach demonstrowali młodzi eleganci zjawisko Galwaniego<sup>30</sup> i odbierali promienne spojrzenia dam. Konduktor<sup>31</sup> elektryczny otwierał drogę do serc kobiecych. Nad udanym eksperymentem bohaterowie dnia posyłali od ust pocałunki wśród aplauzu salonów.

Niedługo trzeba było czekać, a miasto zaroilo się od welocypedów<sup>32</sup> różnej wielkości i kształtu. Filozoficzny pogląd na świat obowiązywał. Kto przyznawał się do idei postępu, wyciągał konsekwencje i dosiadał welocypedu. Pierwsi byli naturalnie koncypienci adwokacy, ta awangarda nowych idei, z podkreślonymi wąsikami i w kolorowych melonkach, nadzieja i kwiat naszej młodzieży. Rozpierając hałaśliwą gawiedź, wjeżdżali w tłum na ogromnych bicyklach, trycyklach, grając drucianymi szprychami. Ręce wsparłszy na szerokiej kierownicy, manewrowali z wysokiego kozła<sup>33</sup> ogromną obręczą koła, wkruwającego się w rozbawiony motłoch linią falistą i krętą. Niektórych z nich ogarniał szal apostołski. Podnosząc się jak w strzemionach na swych grających pedałach, przemawiali z wysokości do ludu, przepowiadając nową, szczęśliwą erę ludzkości — zbawienie przez bicykl... I jechali dalej wśród oklasków publiczności, kłaniając się na wszystkie strony.

A jednak było coś żałośnie kompromitującego w tych wspaniałych i tryumfalnych rozjazdach, był jakiś zgrzyt bolesny i przykry, którym przekrzywiły się na szczycie tryumfu i staczały w swą własną parodię. Musieli to czuć sami, gdy uwieszeni, jak pająki, wśród filigranowej<sup>34</sup> aparatury, rozkraczeni na pedałach jak wielkie skaczące żaby, wykonywali swe kaczujące ruchy wśród toczących się szeroko obręczy. Krok tylko dzielił ich od śmieszności i przekraczali go z rozpaczą, pochylając się na kierownicę i zdwijając szybkość jazdy — rozgimnastykowany kłęb gwałtownych łamańców, który się przezoziółkowywał. Cóż dziwnego? Człowiek wkraczał tu mocą niedozwolonego dowcipu w dziedzinę niesłychanych ułatwień, zdobywanych zbyt tanio, niżej kosztów, niemal za darmo, i ta dysproporcja między wkładem a efektem, to oczywiste oszukiwanie natury, to nadmierne opłacanie genialnego tricku — wyrównywało się autoparodią. Jechali wśród żywiołowych wybuchów śmiechu, oplakani zwycięzcy, męczennicy swej genialności — tak wielka była siła komiczna tych cudów techniki.

Gdy brat mój po raz pierwszy przyniósł ze szkoły elektromagnes, gdy z dreszczem wewnętrznym doświadczaliśmy wszyscy dotknięciem tajemnie wibrującego życia, zamkniętego w obwodzie elektrycznym, ojciec uśmiechał się z wyższością. W głowie jego dojrzała myśl dalekosiężna, zestrzelał się i zamykał łańcuch dawno powziętych podejrzeń. Dlaczego ojciec uśmiechał się do siebie, dlaczego oczy jego przekręcały się, łzawiąc, w tył orbit w śmiesznie przedrzeźnianej dewocji? Któż potrafi odpowiedzieć? Czy przeczuwał gruby trick, ordynarną intrygę, przejrzytą machinację poza zdumiewającymi objawieniami tajemnej siły? Od tej chwili datuje się zwrot ojca do doświadczeń laboratoryjnych.

Nauka

<sup>26</sup>*garnitur* — tu: zestaw przedmiotów służących do jednego celu i stanowiących pewną całość. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*pagoda* — buddyjska świątynia w formie wieży, której każde piętro posiada wygięty dekoracyjny daszek. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*rondo* a. *rondeau* (fr.) — forma w muzyce (również w poezji i tańcu), której konstrukcja opiera się na wielokrotnych powtórzeniach tematu. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*triolet* — rodzaj wiersza o strofie osmiowersowej i specyficznym układzie dwóch rymów, w którym czwarty i siódmy wers powtarza pierwszy, a ósmy jest taki sam jak drugi (ABaAabAB). [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Galvani, Luigi* (1737–1798) — wł. lekarz, fizyk i fizjolog; zapoczątkował rozwój elektrofizjologii poprzez udowodnienie istnienia zjawisk elektrycznych w tkankach zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*konduktor* (daw.) — przewodnik, zwykle elektryczny. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*welocyped* — pierwotny rower, bez łańcucha, często z bardzo dużym kołem przednim i małym tylnym (*bicykl*), rzadziej dwoma kołami tylnymi (*tricykl* a. *trycykl*). [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*koziół* — tu: siodełko. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*filigranowy* — delikatny, ażurowy; od: *filigran*: rodzaj ornamentu wykonanego z cienkich drucików. [przypis edytorski]



Laboratorium ojca było proste: kilka kawałków drutu zwiniętego w cewki, parę słoików z kwasem, cynk, ołów i węgiel — oto był cały warsztat tego przedziwnego ezoteryka<sup>35</sup>. — Materia — mówił spuszczać wstydlive oczy nad swym stłumionym prychnieniem — materia, moi panowie... — Nie domawiał zdania, pozwalał się domyślać, że był na tropie grubego kawału, że byliśmy wszyscy, jakeśmy tu siedzieli, gruntownie nabici w butelkę. Ze spuszczonej oczami ojciec natrząsał się cicho z tego odwiecznego fetysza. — *Panta rei*<sup>36</sup> — wołał i zaznaczał ruchem rąk wieczne krążenie substancji. Od dawna pragnął zmobilizować krążące w niej utajone siły, upłynnić jej sztywność, torować jej drogi do wszechprzenikania, do transfuzji, do wszechcyrkulacji, jedynie właściwej jej naturze. — *Principium individuationis*<sup>37</sup> furda<sup>38</sup> — mówił i wyrażał tym swą bezgraniczną pogardę dla tej naczelnej ludzkiej zasady. Rzucił to mimochodem, biegnąc wzdłuż drutu, przymykał oczy i macał delikatnym dotknięciem różne miejsca obwodu, wyczuwając nikłą różnicę potencjałów. Robił nacięcia w drucie, nachylał się, nasłuchując, i już był o dziesięć kroków dalej, ażeby powtórzyć tę czynność w innym punkcie obwodu. Zdawał się mieć dziesięć rąk i dwadzieścia zmysłów. Jego rozstrzelona uwaga pracowała w stu miejscach równocześnie. Żaden punkt przestrzeni nie był wolny od jego podejrzeń. Nachylał się, nakłuwając drut w jakimś punkcie obwodu, i nagłym rzutem za siebie strzelał jak kot w upatrzone miejsce i pudłował zawstydzony. — Przepraszam — mawiał zwracając się nagle do zdumionego widza przypatrującego się jego manipulacjom — przepraszam, chodzi mi właśnie o ten kawałek przestrzeni, który pan zajmuje swą osobą, czy nie zechciałbyś się pan na chwilę usunąć? — I wykonywał pośpiesznie swoje migawkowe pomiary, zwrotny i zręczny jak kanarek, podrygujący sprawnie na drgawkach swych celowych<sup>39</sup> nerwów.

Metale zanurzone w roztworach<sup>40</sup> kwasów, słońce i śnieg<sup>41</sup> w tej bolesnej kąpieli, zaczynały w ciemności przewodzić. Obudzone z drętwej martwoty nuciły monotonnie, śpiewały metalicznie, świeciły śródcząsteczkowo w nieustannym zmierzchu tych dni żałobnych i późnych. Niewidzialne ładunki wzbierały w biegunach i przekraczały je, uchodząc w wirującą ciemność. Ledwo wyczuwalne świerzbienie, ślepe mrowiące prądy zbiegały przestrzeń spolaryzowaną<sup>42</sup>, w koncentryczne linie sił, w krążenia i spirale pola magnetycznego. To tu, to tam sygnalizowały ze snu aparaty, odpowiadały sobie z opóźnieniem, poniewczasie, beznadziejnymi monosylabami, kreska, kropka, w przerwach głuchego letargu. Ojciec stał pośród tych wędrujących prądów z bolesnym uśmiechem, wstrząśnięty tą jękającą się artykulacją, tą niedolą raz na zawsze zamkniętą i bezwyjściową, sygnalizującą monotonnie kalekimi półsyllabami z nie wyzwolonych głębi.

W rezultacie tych badań ojciec doszedł do wyników zdumiewających. Wykazał na przykład, że dzwonek elektryczny, oparty na zasadzie tzw. młotka Neefa<sup>43</sup>, jest zwykłą mistyfikacją. Nie człowiek włamywał się tu w laboratorium natury, ale natura wciągała go w swoje machinacje, osiągając poprzez jego eksperymenty swoje własne cele, zmierzające nie wiadomo dokąd. Mój ojciec dotykał przy obiedzie paznokcia swego wielkiego palca trzonkiem łyżki zanurzonej w zupę, i oto w lampie zaczynało terkotać dzwonkiem Neefa. Cała aparatura była zbędnym pretekstem, nie należała do rzeczy, dzwonek Neefa był miejscem zbiegu pewnych impulsów substancji, szukających swej drogi poprzez spryt

<sup>35</sup>ezoteryk — tu: adept wiedzy tajemnej. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*Panta rei!* (gr.) — „Wszystko płynie!”, słowa przypisywane Heraklitowi z Efezu (540–475 p.n.e.), filozofowi gr., który uważał, że główną cechą rzeczywistości jest zmienność, a żywiołem ją budującym — ogień. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*principium individuationis* (łac.) — „zasada indywiduacji”, pojęcie związane z poczuciem odrębności jednostki, używane przez Fryderyka Nietzschego (1844–1900), filozofa niem., przedstawiciela immoralizmu i irracjonalizmu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*furda* (daw.) — błahostka. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*celowy* — przystosowany do pełnienia określonego celu. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*roztwór* (chem.) — roztwór. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*śnieg* — pokrywający się śniegiem (patyną, grynszpanem), jasnozielonym nalotem, będącym produktem korozji miedzi; tu ogólnie o metalu: pokrywający się nalotem będącym wynikiem jakiejś reakcji chemicznej. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*spolaryzowany* (z łac. *polus*: biegun) — taki, w którym występuje polarność, wyróżnienie dwu przeciwnych sobie kierunków a. działających sił. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*młotek Neefa* — rodzaj przerywacza, urządzenia elektrycznego służącego do samoczynnego szybkiego włączania i wyłączania prądu; składa się z elektromagnesu oraz żelaznej zwory, przyciągana przez elektromagnes, odgina się i przerywa obwód prądu, w wyniku czego elektromagnes przestaje działać, a zwora powraca we wcześniejsze położenie, zamykając obwód. [przypis edytorski]

człowieka. Natura chciała i sprawiała, człowiek był oscylującą strzałką, członkiem tkackiego warsztatu, strzelającym to tu, to tam wedle jej woli. Był on sam tylko składnikiem, częścią młotka Neefa.

Ktoś rzucił słowo „mesmeryzm”<sup>44</sup>, i ojciec podchwycił je skwapliwie. Krąg jego teorii zamknął się, znalazł swoje ostatnie ogniwo. Człowiek według tej teorii był tylko stacją przejściową, chwilowym węzłem mesmerycznych prądów, płaczących się tam i sam w łonie wiecznej materii. Wszystkie wynalazki, którymi tryumfował, były pułapkami, w które go natura zwabiała, były potrzaskami niewiadomego. Eksperymenty ojca zaczęły nabierać charakteru magii i prestidigitatorstwa<sup>45</sup>, posmaku parodystycznej żonglerki. Nie będę mówił o rozlicznych eksperymentach z gołębiami, które w trakcie manipulowania pałeczką rozmanipulowywał na dwa, na trzy, na dziesięć, ażeby je potem stopniowo, z wysiłkiem wmanipulować z powrotem w pałeczkę. Uchyłał kapelusza, i oto wylatywały kolejno z trzepotem, wracały do rzeczywistości w pełnej liczbie, zapełniając stół falującą, ruchliwą, gruchającą gromadką. Czasem przerywał sobie w nieoczekiwanym punkcie eksperymentu, stawał niezdecydowany z przymkniętymi oczami i po chwili biegł drobnym kroczeniem do sieni, gdzie wsadzał głowę w lufcik komina. Było tam ciemno, głucho od sadzy i błogo jak w samym sednie nicości, ciepłe prądy wędrowały w dół i w górę. Ojciec przymykał oczy i stał tak czas jakiś w tej ciepłej, czarnej nicości. Czuliśmy wszyscy, że ten incydent nie należał do rzeczy, wychodził niejako poza kulisy sprawy, przymykaliśmy wewnątrznie oczy na ten fakt pozamarginesowy, należący do zgoła innego porządku rzeczy.

Mój ojciec miał w swym repertuarze sztuki istotnie deprymujące<sup>46</sup>, przejmujące prawdziwą melancholią. W jadalni naszej krzesła miały wysokie pięknie rzeźbione oparcia. Były to jakieś girlandy liści i kwiatów w guście realistycznym, ale wystarczało prztyknięcie ojca, a rzeźba ta nabierała nagle niezwykle dowcipnej fizjonomii<sup>47</sup>, nieokreślonej puenty, zaczynała migotać i mrugać porozumiewawczo, i było to nad wyraz zawstydzające, niemal nie do zniesienia, aż póki mruganie nie zaczynało nabierać całkiem określonego kierunku, nieodpartości niezwalczonej, i ten i ów z obecnych zaczynał wykrzykiwać: — Ciocia Wandzia, jak mi Bóg miły, ciocia Wandzia! — damy zaczynały piszczeć, bo to była ciocia Wandzia jak żywa, nie, ona sama już była z wizytą, już siedziała i prowadziła swój nieskończony dyskurs, nie dopuszczając nikogo do głosu. Cuda ojca unicestwiała się same, bo nie było to żadne widmo, była to rzeczywista ciocia Wandzia w całej swej zwyczajności i pospolitości, która nie pozwalała nawet na myśl o jakimś cudzie.

Zanim przystąpimy do dalszych wypadków tej pamiętnej zimy, wypada jeszcze napomknąć krótko o pewnym incydencie, który w naszej kronice rodzinnej bywa zawsze wstydliwie tuszowany. Co się stało z wujem Edwardem? Przyjechał wówczas do nas z wizytą, nic nie przeczuwając, tryskając zdrowiem i przedsiębiorczością, żonę i córeczkę zostawił na prowincji czekające z tęsknotą jego powrotu — przyjechał w najlepszym humorze, ażeby się trochę zabawić, rozerwać z dala od rodziny. I co się stało? Eksperymenty ojca zrobiły na nim piorunujące wrażenie. Po pierwszych zaraz jego sztukach wstał, zdjął palto i oddał się całkowicie do rozporządzenia ojca. Bez zastrzeżeń! Słowo to wypowiedział z uporczywym spojrzeniem i silnym uściskiem dłoni. Mój ojciec zrozumiał. Upewnił się, czy wuj nie miał tradycyjnych uprzedzeń co do „*principium individuationis*”. Okazało się, że nie, żadnych, zgoła żadnych. Wuj był liberalny i bez przesądów. Jedyną jego namiętnością było służyć nauce.

Początkowo ojciec pozostawiał mu jeszcze nieco swobody. Czynił przygotowania do zasadniczego eksperymentu. Wuj Edward korzystał ze swej swobody, rozglądając się po mieście. Kupił sobie welocyped okazałej wielkości i objeżdżał na jego ogromnym kole rynek dookoła, zaglądając z wysokości swego kozła do okien pierwszego piętra. Przejeżdżając koło naszego domu, uchyłał z elegancją kapelusza przed damami stojącymi w oknie. Miał wąsy zakręcone spiralnie i małą spiczastą bródkę. Wkrótce jednak przekonał się, że

<sup>44</sup>mesmeryzm a. kuracja Mesmera — metoda leczenia oparta na porządkowaniu krążenia *fluidu*, występującej w teorii magnetyzmu zwierzęcego Franza Antona Mesmera (1734–1815) hipotetycznej subtelną materii istniejącej w ciałach istot żywych. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>prestidigitatorstwo — sztukmistrzostwo. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>deprymujący — przygnębiający; zniechęcający. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

welocyped nie jest zdolny wprowadzić go w głębsze tajniki mechaniki, że ten genialny aparat nie był w stanie trwale dostarczać dreszczów metafizycznych. I wtedy to zaczęły się eksperymenty, przy których brak uprzedzeń wuja co do „*principium individuationis*” okazał się tak niezbędny. Wuj Edward nie miał żadnych zastrzeżeń, aby dla dobra nauki dać się fizycznie zredukować do nagiej zasady młotka Neefa. Zgodził się bez żalu na stopniową redukcję wszystkich swych właściwości w celu obnażenia najgłębszej swej istoty, identycznej, jak to czuł od dawna, z wymienioną zasadą.

Zamknąwszy się w swym gabinecie, ojciec rozpoczął stopniowy rozbiór zawilej istoty wuja Edwarda, męczącą psychoanalizę rozłożoną na szereg dni i nocy. Stół gabinetu zapelniał się zaczął rozłożonymi kompleksami jego jaźni. Początkowo wuj uczestniczył jeszcze w naszych posiłkach, mocno zredukowany, próbował brać udział w naszych rozmowach, przejechał się raz jeszcze na welocypedzie. Potem poniechał tego, widząc się coraz bardziej zdekompletowanym. Pojawił się u niego pewien rodzaj wstydu, charakterystyczny dla tego stadium, w którym się znajdował. Unikał ludzi. Równocześnie ojciec zbliżał się coraz bardziej do celu swych zabiegów. Zredukował go do niezbędnego minimum, usunął jedno po drugim wszystko nieistotne. Umieścił go wysoko w niszy ściennej klatki schodowej, organizując jego elementy na zasadzie ogniwa Leclanche'a<sup>48</sup>. Mur w tym miejscu był spleśniały, grzyb rozpościerał tam swą białawą plecionkę. Ojciec korzystał bez skrupułów z całego kapitału entuzjazmu wujowskiego, rozciągał jego wątek wzdłuż całej długości sieni i lewego skrzydła domu. Posuwając się na drabinie wzdłuż ściany ciemnego korytarza, wbijał małe ćwieczki<sup>49</sup> w ścianę wzdłuż całego toru jego obecnego żywota. Te dymne żółtawe popołudnia były prawie zupełnie ciemne. Ojciec posługiwał się zapaloną świeczką, którą oświecał z bliska zmurszałą<sup>50</sup> ścianę, pięćdziesiąt<sup>51</sup> za pięćdziesiąt. Krążą wersje, że w ostatniej chwili wuj Edward, dotychczas tak po bohatersku opanowany, okazał jednak pewne zniecierpliwienie. Mówią nawet, że przyszło do gwałtownego, acz spóźnionego wybuchu, który o mało co nie zniweczył prawie skończonego dzieła. Ale instalacja była już gotowa, i wuj Edward, jak był przez całe życie wzorowym mężem, ojcem i człowiekiem interesów, tak i w tej ostatniej swej roli poddał się w końcu wyższej konieczności.

Wuj funkcjonował znakomicie. Nie było wypadku żeby odmówił posłuszeństwa. Wyszedłszy z zawikłanej swej komplikacji, w której tylekroć się dawniej gubił i gmatwał, znalazł wreszcie czystość zasady jednolitej i prostolinijnej, której odtąd miał niezmiennie podlegać. Kosztem swej z trudem administrowanej wielorakości uzyskał teraz prostą, nie problematyczną nieśmiertelność. Czy był szczęśliwy? Próżno o to pytać. Pytanie to ma sens jeśli chodzi o istoty, w których zawarte jest bogactwo alternatyw i możliwości, dzięki czemu rzeczywistość aktualna może się przeciwstawić połowicznie realnym możliwościom i w nich zwierciadlić. Ale wuj Edward nie miał alternatyw, przeciwstawienie: szczęśliwy — nieszczęśliwy nie istniało dla niego, ponieważ był aż do ostatecznych granic z sobą identyczny. Nie można się było powstrzymać od pewnego uznania, widząc go tak punktualnie, tak ściśle funkcjonującego. Nawet żona jego, ciotka Teresa, gdy przybyła po pewnym czasie w ślad za mężem, nie mogła się pohamować, aby co chwilę nie przyciskać guzika, ażeby usłyszeć ten głos donośny i wrzaskliwy, w którym odpoznawiała<sup>52</sup> dawny *timbre*<sup>53</sup> jego głosu, gdy był zirytowany. Co do córeczki Edzi, można było powiedzieć, że zachwycała ją kariera ojca. Później co prawda wzięła na mnie pewien rodzaj odwetu mszcząc się za czyn mego ojca, ale to już należy do innej historii.

## 2

Mijały dni, popołudnia stawały się dłuższe. Nie było co z nimi zrobić. Nadmiar czasu jeszcze surowego, jeszcze czczego<sup>54</sup> i bez zastosowania, przedłużał wieczory pustymi

<sup>48</sup>ogniwo Leclanche'a — popularne ogniwo elektryczne węglowo-cynkowe, wynalezione przez fr. chemika Georgesa Leclanche'a (1839–1882). [przypis edytorski]

<sup>49</sup>ćwieczek — gwóźdź, mały ćwiek. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>zmurszały — sypiący się, kruszący się z powodu rozkładu (o drewnie lub murach). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>pięćdziesiąt — dawna miara długości, odpowiadająca szerokości rozpostartej dłoni. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>odpoznawać (daw.) — rozpoznawać w czymś coś, co znało się dawniej. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>timbre (fr.) — barwa, brzmienie dźwięku, głosu. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>czczy (daw.) — pusty, jałowy, nic nieznaczący. [przypis edytorski]

zmierzchami. Adela po wczesnym umyciu naczyń i po sprzątnięciu kuchni stała bezradna na ganku, patrząc bezmyślnie na kraśniejącą bladej wieczorną. Jej piękne oczy, tak wymowne kiedy indziej, stawały w słup z tępego zamyślenia — wypukłe, wielkie i błyszczące. Cera jej, przy końcu zimy zmętniała i szara od swądów kuchennych, odmładzała się teraz pod wpływem wiosennej grawitacji miesiąca<sup>55</sup>, przybierającego od kwadry do kwadry, nabierała refleksów mlecznych, odcieni opalowych, połysków emalii. Tryumfowała teraz nad subiektami, którzy tracili kontenans<sup>56</sup> pod jej ciemnymi spojrzeniami, wypadali z roli zblazowanych<sup>57</sup> bywalców knajp i lupanarów<sup>58</sup> i wstrząśnięci jej nową urodą, szukali innej platformy zbliżenia, gotowi do koncesji<sup>59</sup> na rzecz nowego układu stosunków, do uznania faktów pozytywnych<sup>60</sup>.

Eksperymenty ojca nie sprowadziły wbrew wszystkim oczekiwaniom przewrotu w życiu powszechnym. Zaszczepienie mesmeryzmu na ciele nowoczesnej fizyki nie okazało się płodne. Nie żeby w odkryciach ojca nie tkwiło ziarno słuszności. Ale prawda nie decyduje o powodzeniu idei. Nasz głód metafizyczny jest ograniczony i prędko ulega nasyceniu. Ojciec stał właśnie u progu nowych rewelacyjnych odkryć, gdy w nas wszystkich, w szeregi jego zwolenników i adeptów zaczęła się wkradać niechęć i rozprzężenie. Coraz częstsze były oznaki zniecierpliwienia, dochodzące do otwartych protestów. Nasza natura buntowała się przeciw rozluźnieniu praw fundamentalnych, mieliśmy dość cudów, pragnęliśmy wrócić do starej, jakże zaufanej i solidnej prozy odwiecznych porządków. I ojciec to rozumiał. Rozumiał, że posunął się za daleko i zahamował lot swych idei. Grono eleganckich adeptek i adeptów z podkreślonymi wąsami topniało z dnia na dzień. Ojciec, pragnąc wycofać się z honorem, zamierzał właśnie wygłosić ostatnią, zamykającą prelekcję, gdy nagle nowe zdarzenie skierowało uwagę wszystkich w zgoła nieoczekiwanym kierunku.

Pewnego dnia brat mój, wróciwszy ze szkoły, przyniósł nieprawdopodobną a jednak prawdziwą wiadomość o bliskim końcu świata. Kazaliśmy sobie powtórzyć, sądząc żeśmy się przesłyszeli. Ale nie. Tak właśnie brzmiała ta niewiarogodna, ta ze wszech miar niepojęta wiadomość. Tak jest, tak jak stał, niegotowy i nie wykończony, w przypadkowym punkcie czasu i przestrzeni, bez zamknięcia rachunków, nie dobiegłszy do żadnej mety, w połowie zdania niejako, bez kropki i wykrzyknika, bez sądu i gniewu bożego — niejako w najlepszej komitywie<sup>61</sup>, lojalnie, podług obopólnej umowy i uznanych obustronnie zasad — świat miał wziąć w łeb, po prostu i nieodwołalnie. Nie, nie był to eschatologiczny<sup>62</sup>, od dawna przez proroków przepowiedziany, tragiczny finał i akt ostatni komedii boskiej. Nie, był to raczej bicyklowo-cyrkowy, hopla-prestidigitatorski, wspaniale hokus-pokusowy i pouczająco-eksperymentalny koniec świata — wśród aplauzu wszystkich duchów postępu. Nie było niemal nikogo, komu by natychmiast nie trafił do przekonania. Przerażonych i protestujących zakrzyczano natychmiast. Dlaczegoż nie rozumieli, że była to po prostu niesłychana szansa, koniec świata najbardziej postępowy, wolnomyślicielski, na wysokości czasu stojący, po prostu zaszczytny i przynoszący zaszczyt Mądrości najwyższej? Przekonywano się z zapałem, rysowano *ad oculos*<sup>63</sup> na wydartych kartkach z notesu, demonstrowano niezbitcie, pobito na głowę oponentów i sceptyków. W piśmie ilustrowanych pojawiły się całostronicowe ryciny, antycypowane<sup>64</sup> obrazy katastrofy w efektownych inscenizacjach. Widziano tam ludne miasta w nocnej panice pod niebem świetniejącym w sygnałach świetlnych i fenomenach. Widziano już zadziwiające oddziaływanie dalekiego bolidy<sup>65</sup>, którego paraboliczny wierzchołek wciąż wymierzony w glob ziemski trwał na niebie w nieruchomym locie, zbliżając się z szybkością tyłu i tyłu mil na sekundę. Jak w farsie cyrkowej wlatywały kapelusze i meloniki, włosy stawały

Koniec świata

<sup>55</sup>miesiąc (daw., poet.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>kontenans (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>zblazowany — znudzony za sprawą nadmiaru wrażeń. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>lupanar (daw., z łac.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>koncesja (z łac.) — ustępstwo. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>pozytywny (z łac. *positivus*: oparty, uzasadniony) — tu zapewne: ustalony, pewny. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>komitywa (z łac.) — bliskie, poufale stosunki, zażyłość. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>eschatologiczny — związany z zagadnieniami *eschatologii*, dziedziny teologiczno-filozoficznej traktującej o sprawach ostatecznych: końcu świata, losie człowieka po śmierci itp. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*ad oculos* (łac.) — dosł.: do oczu, przed oczy; naocznie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>antycypować — przewidywać, zapowiadać. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>bolida (z gr.) — dziś popr.: *bolid*, żarzący się meteor lub inne niewielkie ciało niebieskie przelatujące przez atmosferę i eksplodujące w powietrzu lub spadające na ziemię. [przypis edytorski]



dęba, parasole otwierały się same, a lysiny obnażały się pod ulatującymi perukami — pod niebem czarnym i ogromnym, migocącym jednoczesnym alarmem wszystkich gwiazd.

Coś odświętnego wlało się w nasze życie, jakiś entuzjazm i żarliwość, jakaś ważność i solenność weszła w nasze ruchy, rozszerzyła nasze piersi kosmicznym westchnieniem. Glob ziemski wrzał nocami od uroczystej wrzawy, od solidarnej ekstazy tysięcy. Noce nastały czarne i ogromne. Mgławice gwiazd zagęszczały się dookoła ziemi niezliczonymi rojami. W czarnych przestrzeniach planetarnych stały te roje rozmaicie rozmieszczone, osypując się pyłem meteorów od przepaści do przepaści. Zagubieni w nieskończonych przestrzeniach, straciliśmy niemal glob ziemski pod nogami, zdezorientowani, zmyliwszy kierunki, wisieliśmy jak antypodzi<sup>66</sup> głową w dół nad odwróconym zenitem i wędrowaliśmy po rojowiskach gwiezdnych, wodząc poślinionym palcem przez całe lata świetlne od gwiazdy do gwiazdy. Tak wędrowaliśmy przez niebo wyciągniętą bezładną tyralierą<sup>67</sup>, rozbiegli we wszystkich kierunkach po nieskończonych szczeblach nocy — emigranci opuszczonego globu, płądrujący niezmierne mrowie gwiazd. Otworzyły się ostatnie bariery i bicykliści wjechali w czarną przestrzeń gwiezdą, stanąwszy dęba na swych welocypedach, trwali w nieruchomym locie w planetarnej próżni, otwierającej się coraz nowymi gwiazdozbiorami. Lecąc tak ślepy m torem, wytyczali drogi i szlaki bezsennej kosmografii, w istocie zaś trwali w planetarnym letargu, czarni jak sadza, jak gdyby wsadzili głowę w luźnik od pieca, ostateczną metę i cel wszystkich tych ślepych lotów.

Po dniu krótkim, bezładnym, na poły przespanym, otwierała się noc jak ogromna rojna ojczyzna. Thumy wylegały na ulicę, wysypywały się na place, głowa na głowie, jak gdyby odbito beczki kawioru toczącego się strugami lśniącego śrutu, płynącego rzekami pod nocą czarną jak smoła i zgiełkliwą od gwiazd. Schody załamywały się pod ciężarem tysięcy, we wszystkich oknach ukazywały się zrozpaczone figurki, ludzie-zapałki na ruchomych drewniakach przekraczały parapet w lunatycznym ferworze, tworzyły żywe łańcuchy jak mrówki, ruchome spiętrzenia i kolumny — jeden na ramionach drugiego — spływające z okien na platformy placów, jasne od blasku beczek smolnych.

Proszę mi wybaczyć, jeśli opisując te sceny pełne ogromnego spiętrzenia i tumultu wpadam w przesadę, wzorując się mimo woli na pewnych starych sztychach<sup>68</sup> w wielkiej księdze klęsk i katastrof rodzaju ludzkiego. Wszak zmiernają one do jednego praobrazu, i ta megalomaniacznica przesada, ogromny patos tych scen wskazuje, że wybiliśmy tu dno odwiecznej beczki wspomnień, jakieś prabeczki mitu, i włamaliśmy się w przedludzką noc pełną bełkocącego żywiołu, bulgocącej anamnezy<sup>69</sup>, i nie możemy już wstrzymać wezbranego zalewu. Ach, te rybne i rojne noce, zarybione gwiazdami i lśniące od łusek, ach, te ławice pyszczków łykających niestrudzenie drobnymi haustami, głodnymi łykami wszystkie wezbrane, niewypite strugi tych czarnych i ulewnych nocy! Do jakich fatalnych więcierzy<sup>70</sup>, do jakich żalonych niewodów<sup>71</sup> ciągnęły te ciemne pokolenia tysięcy razy rozmnożone?

O, niebiosach tych dni, całe w sygnałach świetlnych i meteorach, pokreślone przez kalkulacje astronomów, tysiącrotnie przekalkowane, pocyfrowane, poznaczone wodnymi znakami algebry. Z twarzami błękitnymi od glorii tych nocy, wędrowaliśmy po niebiosach pulsujących od wybuchów dalekich słońc, w syderycznych<sup>72</sup> olśnieniach — rojowiska ludzkie płynące szerokim szlakiem po mieliznach drogi mlecznej rozlanej na całe niebo, struga ludzka, nad którą górowali cykliści na swych pajęczych aparatach. O, gwiezdna arena nocy, porysowana aż po najdalsze krańce przez ewolucje, spirale, arkany

<sup>66</sup>antypoda — człowiek zamieszkujący obszar położony po przeciwnej stronie kuli ziemskiej względem kogoś innego. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>tyraliera — rodzaj luźnego szyku bojowego tworzonego przez żołnierzy stojących w odstępach w jednej linii. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>sztych — staloryt, technika graficzna posługująca się metalową płytą, zatrzymującą tusz w wyżłobionych w niej rowkach. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>anamneza (z gr.: przypomnienie) — przypomnienie sobie tego, co już zostało poznane przed narodzinami. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>więcierz — rodzaj prostej sieci rybackiej z wikliny lub tkaniny sieciowej. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>niewód — rodzaj długiej sieci rybackiej. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>syderyczny (z łac. *sidus, sideris*: gwiazda) — gwiezdny. [przypis edytorski]

i pętle tych jazd elastycznych, o cykloidy<sup>73</sup> i epicykloidy<sup>74</sup> egzekwowane<sup>75</sup> w natchnieniu po przekątniach<sup>76</sup> nieba, gubiące druczane szprychy, tracące obojętnie lśniące obręcze, dobiegające już nagie, już tylko na czystej idei bicyklicznej do mety świetlanej! Z tych dni wszak datuje się nowa konstelacja, trzynasty gwiazdozbiór przyjęty na zawsze w poczet Zodiaku, świetniejący odtąd na niebie naszych nocy: „Cyklista”.

Mieszkania w te noce na przestrzał otwarte stały puste w świetle lamp filujących<sup>77</sup> gwałtownie. Firanki okien, wyrzucone daleko w noc, falowały, i tak stały te amfilady<sup>78</sup> we wszechobejmującym, ustawicznym przeciągu, który je przesywał na wskroś jednym, nieustającym, gwałtownym alarmem. To wuj Edward alarmował. Tak jest, nareszcie stracił cierpliwość, zerwał wszystkie więzy, podeptał imperatyw kategoriyczny<sup>79</sup>, wyłamał się z rygorów swej wysokiej moralności i alarmował. Zatykano go pośpiesznie przy pomocy długiego drążka, kuchennymi szmatami, usiłowano zatamować gwałtowny wybuch. Ale nawet tak zakneblowany, gwałtował dziko, terkotał bezprzytomnie, terkotał bez opamiętania, było mu już wszystko jedno, i życie uchodziło zeń tym terkotem, skrwawiał się na oczach wszystkich bez ratunku w fatalnym zaciętrzewieniu.

Czasem wpadał ktoś na chwilę do pustych pokoi przesytych tym gwałtownym alarmem, wśród lamp płonących wysokim płomieniem, podbiegał na palcach parę kroków od progu i zatrzymywał się z wahaniem, jakby czegoś szukając. Zwierciadła brały go bez słowa w swą głąb przejrzystą, rozdzielały milczkiem między siebie. Wuj Edward gwałtował<sup>80</sup> wniebogłosem przez wszystkie te jasne i puste pokoje i samotny dezerter gwiazd, pełen złego sumienia, jakby przyszedł popełnić czyn zdrożny<sup>81</sup>, wycofywał się ukradkiem z mieszkania, ogłuszony alarmem, i zmierzał do drzwi, odprowadzany przez czujne zwierciadła, które go przepuszczały przez lśniący swój szpaler<sup>82</sup>, podczas gdy w głąb ich rozbiegał się na palcach w różnych kierunkach rój spłoszonych sobowtórów z palcem przy ustach.

Znowu otwierało się nad nami niebo ze swymi bezmiarami zasianymi pyłem gwiezdny. Na tym niebie pojawiał się już o wczesnej godzinie noc w noc ów fatalny bolida ukośnie przechylony, uwisły u wierzchołka swej paraboli, nieruchomo wymierzony w ziemię, połykający bez skutku tyle i tyle tysięcy mil na sekundę. Wszystkie spojrzenia wymierzone były ku niemu, podczas gdy on, metalicznie świecący, obły w kształcie, nieco jaśniejszy w swym wypukłym jądrze, wykonywał z matematyczną dokładnością swe dzienne pensum<sup>83</sup>. Jakże trudno było uwierzyć, że ten mały robaczek, świecący niewinnie wśród niezliczonych rojów gwiazd, to palec ognisty Baltazara<sup>84</sup> wypisujący na tablicy nieba zgubę naszego globu. Ale każde dziecko umiało na pamięć ów wzór fatalny ujęty w fajkę wielokrotnej całki<sup>85</sup>, z której po wstawieniu granic<sup>86</sup> wynikała nasza nieuchronna zatrata. Cóż mogło nas jeszcze uratować?

Podczas gdy gawiedź rozbiegła się w wielkiej nocy, gubiąc się wśród gwiezdnych blasków i fenomenów, ojciec pozostał cichaczem w domu. On jeden znał tajne wyjście

<sup>73</sup>cykloida (z gr.) — krzywa płaska, jaką zatacza punkt okręgu toczącego się po prostej. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>epicykloida (z gr.) — krzywa płaska, jaką zakreśla punkt okręgu toczącego się bez poślizgu po zewnątrz drugiego okręgu. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>egzekwowany — tu: wykonywany. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>przekątnia (daw.) — przekątna. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>filować (z fr.) — o świecy, lampie naftowej: kopcić; o świetle lampy: migotać, drgać. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>amfilada — ciąg pomieszczeń z drzwiami ustawionymi na jednej osi. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>imperatyw kategoriyczny — w filozofii Kanta: bezwarunkowy nakaz moralny każący jednostce postępować tak, że w jej przekonaniu reguły tego postępowania mogłyby stanowić powszechne zasady. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>gwałtować (daw.) — robić gwałt, podnosić alarm. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>zdrożny — stanowiący wykroczenie przeciw właściwym obyczajom, naganny. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>szpaler — dwa równoległe ułożone szeregi, rzadziej pojedynczy szereg. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>pensum (łac.) — praca, zadanie do wykonania w określonym czasie, zwykle jednego dnia. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>palec ognisty Baltazara... — wg Biblii (Dn 5) król Babilonu Baltazar wydał ucztę, podczas której ukazała się w sali ręka pisząca na ścianie słowa: *Mane, tekel, fares*, co zwykle się tłumaczy: „policzone, zważone, rozdzielone”. Była to przepowiednia bliskiego upadku królestwa Baltazara, która spełniła się jeszcze tej samej nocy. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>całka (mat.) — pojęcie matematyczne, rodzaj sumy nieskończenie wielu nieskończenie małych wielkości, stosowanej dla wielkości zmieniających się w sposób ciągły; symbolem całki jest pionowa kreska z zagięciami na końcach (stąd „fajka”), pochodząca od wydłużonej litery „s”. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>granice całkowania (mat.) — początkowa oraz końcowa wartość zmiennej, wyznaczające zakres, dla którego oblicza się wartość całki. [przypis edytorski]

z tej matni<sup>87</sup>, tylne kulisy kosmologii<sup>88</sup>, i uśmiechał się skrycie. Podczas gdy wuj Edward alarmował rozpaczliwie, zatkany szmatami, ojciec wsadził po cichu głowę do lufcika od pieca. Było tam glucho i czarno, że oko wykol. Wiało ciepłym powietrzem, sadzą, zaciszem i przystanią. Ojciec usadowił się wygodnie, przymknął z błogością oczy. W ten czarny skafander domu, wynurzony nad dachem w noc gwiazdzistą, wpadał nikły promyk gwiazdy i załamany jakby w szklach lunety, kielkował światłem w ognisku, zaczynał się załączkiem w ciemnej retorcie kominu. Ojciec ostrożnie kręcił śrubę mikrometru<sup>89</sup>, i oto wysunął się powoli w pole widzenia lunety ten stwór fatalny, jasny jak księżyc, podany przez soczewkę na odległość dłoni, plastyczny i świecący wapienną rzeźbą w milczącej czerni pustki planetarnej. Był nieco skrofuliczny<sup>90</sup>, poorany ospą — brat rodzony księżycy, zagubiony sobowtór wracający po tysiącletniej wędrówce do macierzystego globu. Mój ojciec przesunął go z bliska przed wytrzeszczonym okiem jak krąg sera szwajcarskiego gęsto dziurkowany, bladeżółty, ostro oświetlony, pokryty białą jak trąd krostą. Z ręką na śrubie mikrometru, z okiem olśnionym jaskrawo przez światło okularu, wodził ojciec zimnym spojrzeniem po wapiennym globie, widział na jego powierzchni zawile rysunek choroby toczącej go od wewnątrz, kręte kanaliki kornika-drukarza, ryjącego serowatą i robaczywą powierzchnię. Ojciec wzdrygnął się, dostrzegł swą pomyłkę, nie, nie był to ser szwajcarski, był to najwidoczniej mózg ludzki, anatomiczny preparat mózgu w całej jego zawilej budowie. Ojciec widział wyraźnie granice płatów, zwoje szarej substancji. Natężywszy wzrok silniej, odczytał nawet nikłe litery napisów biegnące w różnych kierunkach na zawilej mapie półkuli. Mózg zdawał się być zachloroformowany<sup>91</sup>, głęboko uspiiony i przez sen błogo uśmiechnięty. Dochodząc jądra tego uśmiechu, ujrzał ojciec poprzez zagmatwany rysunek powierzchni sedno zjawiska i uśmiechnął się sam do siebie. Czegóż nie odkrywa nam własny zaufany komin, czarny jak tabaka w rogu! Poprzez zwoje szarej substancji, poprzez drobną granulację nacieków, dostrzegł ojciec wyraźnie przeświecające kontury embriona w charakterystycznie przekoziolkowanej pozycji, z piąstkami przy twarzy śpiącego na opak swój sen błogi w jasnej wodzie amnionu<sup>92</sup>. W tej pozycji zostawił go ojciec. Powstał z ulgą i zamknął kłapę lufcika.

Dotąd i nie dalej<sup>93</sup>. Jak to, a cóż stało się z końcem świata, co z tym świetnym finałem po tak wspaniale rozwiniętej introdukcji<sup>94</sup>. Spuszczenie oczu i uśmiech. Czy zakradł się błąd w obliczenia, maleńka pomyłka w dodawaniu, diablík drukarski przy przepisywaniu cyfr? Nic z tego wszystkiego. Obliczenie było ściśle, żaden błąd nie zakradł się w kolumny cyfr. Więc cóż się stało? Proszę posłuchać. Bolidą pędził dzielnie, rwał z kopyta jak rumak ambitny, ażeby osiągnąć mety zawczasu. Moda sezonu biegła z nim razem. Przez czas jakiś leciał on u czoła epoki, której nadawał swój kształt i imię. Potem zrównały się te dwa dzielne bieguny i szły równolegle w wysilonym galopie, serca nasze były solidarnie wraz z nimi. Potem jednak moda wysunęła się z wolna naprzód o długość nosa, wyprzedziła niestrudzonego bolidę. Ten milimetr zdecydował o losie komety. Była już przesądzona, raz na zawsze zdystansowana. Już serca nasze biegły z modą, zostawiały z wolna w tyle świetnego bolidę, patrzyliśmy obojętnie, jak bladł, malał i stał w końcu zrezygnowany na horyzoncie, bokiem przechylony, biorąc już na próżno ostatni zakręt na swym zakrzywionym torze, daleki i błękitny, na zawsze nieszkodliwy. Odpadł bezsilnie w konkursie, siła aktualności wyczerpała się, nikt nie troszczył się o zdystansowanego. Pozostawiony sobie, wiądnął po cichu wśród powszechnej obojętności.

Wracaliśmy ze spuszczoną głową do codziennych zajęć, bogatsi o jedno rozczarowanie. Zwijano pośpiesznie kosmiczne perspektywy, życie wracało na zwykłe tory. Spa-

<sup>87</sup>matnia — sytuacja bez wyjścia, pułapka. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>kosmologia — nauka zajmująca się budową kosmosu, wszechświata. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>mikrometr pozycyjny (astr.) — używany do poł. XX w. przyrząd do precyzyjnych pomiarów wzajemnego położenia obiektów widniejących na niebie blisko siebie. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>skrofuliczny — chory na gruźlicę węzłów chłonnych szyi; tu przen.: o nierównej fakturze z wyraźnymi ziarnistościami, poorany punktowymi zniszczeniami. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>chloroform — organiczny związek chemiczny w postaci lotnej cieczy o słodkawym zapachu, używany jako środek usypiający. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>amnion (daw., gr.) — owodnia, błona płodowa okrywająca bezpośrednio płód i mająca zapewnić mu środowisko wodne. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Dotąd i nie dalej — w biblijnej *Księdze Hioba* (Hi 38, 11) tymi słowami Bóg wyznacza granice destrukcyjnemu morzu. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>introdukcja (z łac.) — wstęp. [przypis edytorski]

liśmy w tych dniach nieustannie dniem i nocą, odsypialiśmy czas stracony. Leżeliśmy pokotem w ciemnych już mieszkaniach, zmorzeni snem, unoszeni na własnym oddechu ślepych torem bezgwiazdnych marzeń. Płynąc tak, falowaliśmy — piskliwe brzuchy, kobzy i dudy, przewalczając się śpiewnym chrapaniem przez wszystkie wertepy zamkniętych i bezgwiazdnych już nocy. Wuj Edward zamilkł na wieki. Jeszcze było w powietrzu echo jego alarmującej rozpaczki, ale on sam już nie żył, życie uszło zeń z tym terkoczącym paroksyzmem, obwód otworzył się, on sam zaś wstępował bez przeszkód na coraz wyższe stopnie nieśmiertelności. W ciemnym mieszkaniu ojciec sam jeden czuwał, snując się cicho w pokojach pełnych śpiewnego spania. Czasem otwierał lufcik komina i zaglądał z uśmiechem w ciemną czeluść, gdzie spał świetlanym snem na wieki uśmiechnięty Homunculus<sup>95</sup> zamknięty w szklanej ampulce, opłynięty pełnią światła jak neonem, już przesądzony, przekreślony, odłożony do aktów<sup>96</sup> — archiwalna pozycja w wielkiej registraturze<sup>97</sup> nieba.

<sup>95</sup>*homunculus* (łac.) — człowiek stworzony w sposób sztuczny, zwykle miniaturowy i bezpłciowy. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*do aktów* — dziś popr. forma dla zbioru dokumentów: do akt. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*registratura* — zbiór dokumentów urzędu lub kancelarii; także: szafa na takowe. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-kometa>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, *Opowiadania, wybór esejów i listów*. oprac. J. Jarzębski, wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1989.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0868-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).